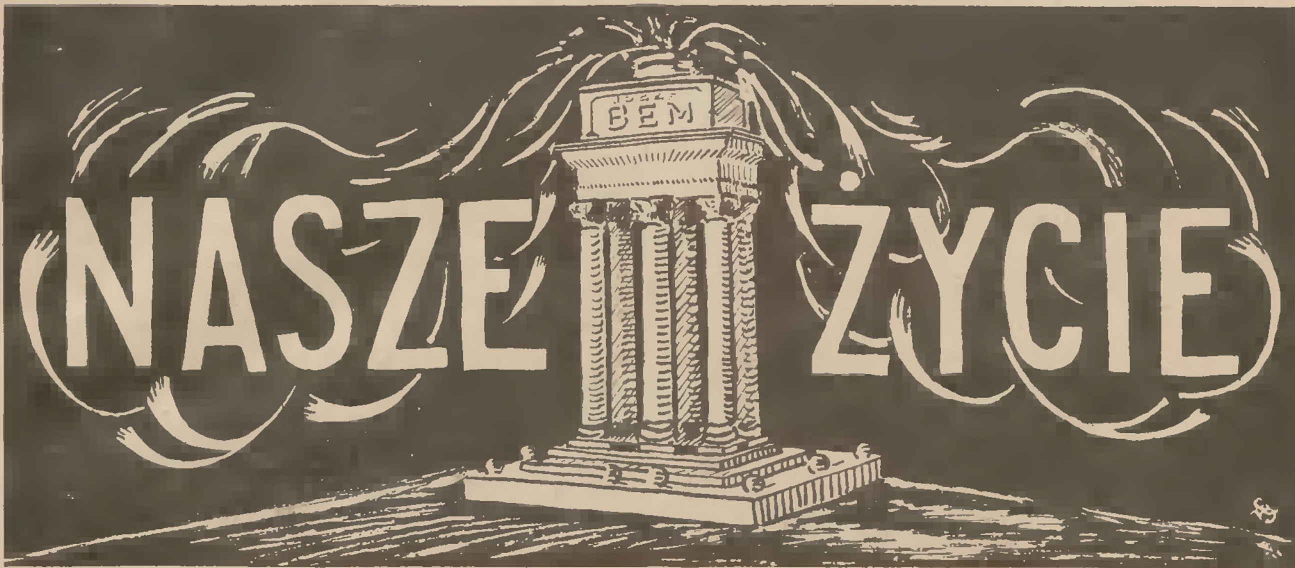
Nakład 1200 egzemplarzy. NUMER POJEDYNCZY 30 GROSZY.
ROK II 1 LUTEGO 1931 R. NR 5



ORGAN MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

Prenumerata: 1 zł. kwartalnie, 2 zł. półrocznie, 4 zł. rocznie.
Wydawca: Kółko Historyczne uczniów II-go Państwowego Gimnazjum w Tarnowie.

CENY OGŁOSZEŃ: Strona 40 zł. 1/2 strony 20 zł., drobne 1·50 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Tarnów. II Gimnazjum. — Redakcja przyjmuje w soboty od 4 - 6 po południu w II Gimnazjum Ip. — Rękopisów nie zwraca się.

Cena egzemplarza obniżona na 30 groszy

Gazeta w życiu szkolnem.

(Patrz artykuł na str. 10 p. t.: Organizacja filij „Naszego Życia").

Kiedy świat cały skołatany wojną budzi się z powrotem do życia, opartego na zasadach wolności, sprawiedliwości i etyki, rozbudzenie to starszego społeczeństwa musi znaleść oddźwięk i u nas młodych.

Oto w ostatnich czasach obserwujemy w życiu młodzieży szkolnej wzmożony ruch społeczny we formie gazetek szkolnych i innych perjodycznych wydawnictw.

Z jakim rozpędem ten ruch wzrasta, świadczy o tem np. to, że w samym okręgu szkolnym krakowskim można naliczyć około 30 tych pism. Nie wszystkie z nich są trwałe i nie wszystkie mają jednaki charakter, jedne ukazują się raz tylko, by nie znalazłszy poparcia u młodzieży, upaść z powodu trudności materjalnych, inne są wyłącznie wydawnictwem jednorazowem, jeszcze inne wiodą swój niestały żywot, nie rozszerzając się poza ramy lokalne.

I niema w tem nic dziwnego. Trudno wymagać od młodzieży szkolnej technicznie wyrobionego talentu dziennikarskiego. Co jednak oznacza ten ruch publicystyczny młodych dusz, pomyślany chociażby w zakresie pracy i nauki szkolnej? Czy to jest może tylko zabawka młodzieńczego wieku? A może tylko objaw modny, wśród tylu innych powojennych nierozumnych, a czasem i spaczonych uniesień? Może to chęć naśladowania starszego społeczeństwa, którego każde ważniejsze napięcie w pewnym kierunku znajduje oddźwięk u młodzieży?

Nie stawiamy na te pytania kategorycznego: „nie".

Natomiast my, zrzeszeni około „Naszego Życia", pozostawiamy poza sobą dyskusję nad wyżej poruszonemi kwestjami, jako niepraktyczną, a zwracamy naszą uwagę w kierunku wprost przeciwnym. Nie chodzi o to, czem jest ten ruch, ale czemby być mógł i jak go można dla osiągnięcia dobrych celów zużytkować.

Zdaniem naszem należy ten ruch, w przeważnej swej części dotychczas o charakterze lokalnym, wzmacniać, rozpowszechniać i uogól-

niać w stałą jedną wielką organizację młodzieży, nadawać jej odpowiedni kierunek i wspólnie pracować nad wynalezieniem jednego wspólnego wielkiego celu, idei dla młodych, idei wielkiej, znalezienia drogi do pracy nad wielkością Ojczyzny, odpowiedniej dla nas młodych, którąbyśmy mogli umieścić, jako nasze hasło na naszym Sztandarze.

Pierwszym celem na tej drodze będzie wzajemne poznanie się i zbliżenie.

Społeczeństwo opiera się na rodzinie, a społeczeństwo, które może nazwać się jedną rodziną, jest ideałem społeczeństwa. Stwórzmy taką rodzinę. Niech nie bedzie tyle szkół, ile jest gmachów szkolnych, lecz niech będzie naprawdę jedna szkoła. Zaczerpnijmy zasad etyki katolickiej, której ideałem jest jedna wielka rodzina całej ludzkości.

Poznamy się nawzajem i zbliżymy. Wielka to rzecz, lecz trzeba ją dobrze rozumieć. Brak komunikacji jest twórcą różnic w każdem gronie, jest przyczyną partykularyzmu, granic, opóźnienia w postępie. Gdyby mieszkańcy Krakowa pozbawieni byli przez dwa dni wiadomości o Lwowie, powstałby już niepokój. A czy kto wie z Was, co się dzieje w szkole sąsiedniego miasta? I czy dobrze Wam z tem? Czy nie odczuwacie potrzeby łączności w zakresie naszego młodzieńczego świata. Spróbójcie nawiązać węzły łączności i przyjaźni, a nie będziecie mogli pojąć, jak dotychczas żyliście bez nich, sami, jak w kotle.

Ależ organizacje takie były — odpowie kto z Was — organizowały się dla osiągnięcia pewnych celów, a po osiągnięciu ich stawały się bezprzedmiotowe i rozwiązywały się siłą faktu. To chluba naszego Narodu, że umiemy stawać w potrzebie. Zgoda. Lecz czyż niema dla nas celów stałych? Jeśli niema, stwórzmy je. Są idee wielkie, szlachetne, na wiecznej pracy i wytrwałości oparte. Czyż cele, nie posiadające momentów chwilowo wstrząsających, nie mogą być wielkiemi, czy nie przyjmą się u nas? Jeśli nie, to nie bylibyśmy zdolni do pracy ornizacyjnej, twórczej i mocnej, lecz uczuciowej i słabej.

Poznamy się więc i zbliżymy. A potem? Potem — zobaczycie, ile pracy nas czeka, i'eśmy zaniedbali! Nie bójcie się, że uderzymy w próżnię!

Myśli te poruszamy nie dlatego, byśmy wątpili, czy je rozumiecie, lecz dlatego, że chociaż wszyscy wiemy, jak czynić należy, nie wielu posuwa się do czynu. **Myśmy zaczęli!**

Czapka studencka.

Leżała smutna, zmięta, ciśnięta w kąt półki, wśród rozrzuconych w nieładzie książek i zeszytów. Podarta i połamana, przygnieciona doryWczo i bez ładu rzucanemi rozmaitemi przedmiotami, przedstawiała smutny widok, nawet dla tak nieczułego i niechlujnego stworzenia, jak kałamarz szkolny.

— Współczuję ci wprawdzie, bo nieraz widziałem, jak niegrzecznie i niedbale obchodzi się z Tobą Twój właściciel, i, o ile pamiętam, piękniejszą byłaś w tym czasie, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, ale Ty, moja droga, za wiele wymagasz od swego losu. Chciałabyś być zawsze piękna i młoda, chciałabyś lśnić i błyszczeć i, jak to ongiś opowiadałaś, być zawsze taką, jaką byłaś w sklepie na wystawie. Ja to nazywam zarozumiałością.

— Mój drogi — przerwała mu czapka studencka — prosiłam Cie tylekroć, dajmy pokój sprzeczkom. — Nigdy mnie nie zrozumiesz, oszczędź mi więc przynajmniej twoich bolesnych wymówek.

— Ha, ha! stajesz się przykrą na starość. Wiem ja to. Gdyś była młodą, pamiętam, promieniałaś ze szczęścia i pełno było Cię wszędzie. A zdaje mi się, że zarozumiałość ołówka, to też Twoja sprawka. Słuchałem ja nieraz Waszych rozmów, prowadzonych pod ławką. Nie był on dawniej taki zarozumiały i inaczej ze mną mówił.

— Mnie możecie zostawić w spokoju. Nie rozumiem Was. Kłócicie się zawsze, ale ja nie wiem dobrze, o co. Rozmawiałem nieraz z czapką, to prawda, ale chociaż nie rozumiałem często jej wywodów, wynosiłem zawsze z tej rozmowy wrażenie bardzo miłe. Czułem, że w tej atmosferze, jaką ona roztacza koło siebie i mnie było dobrze. Co do mnie, to wiesz, że nie mam ja takich wygórowanych pretensyj do życia, jak Ty. Ja oceniam swoją wartość według swej długości. Moja długość, to długość mego życia.

— Głupiś Ty z twoją długością. Odkąd zwąchaliście się z tą warjatką czapką, której zupełnie przewróciło się w głowie na starość, nie słyszałem od Was mądrego słowa. Nie dziwię się czapce, ta zawsze chorowała na jakieś mrzonki nieokreślone i nieuchwytne, ale Ty, który przecież jesteś moim krewnym, Ty też zaczynasz wygłaszać jakieś coraz niemądrzejsze zasady. A czyż Ty możesz wogóle równać się ze mną, pomimo, że, jak mówisz, jesteś „długi"? Cóż z tego, że jesteś „długi"? Ja jestem okrągły, ale nie zaprzeczysz, że wszyst-

kie poważniejsze dzieła, które ludzie piszą, pisane są atramentem, a atrament to moja dusza. A kto pisze ołówkiem i co?

Widziałem nieraz, gdym stał jeszcze na ławce w szkole, jak właściciel Twój gryzmolił Tobą jakieś głupstwa w zeszycie, zamiast korzystać z nauki. Czasem coś w bruljonie zapisał, a przeważnie smarował Tobą ławkę.

Szczęśliwy jestem, że z tego brudnego miejsca przeniósł mnie on do domu.

— Otóż to! Przeszedłeś sam siebie. Pochwalasz kradzież? Wszak byłeś przedtem własnością szkoły... Ale mój bracie, schodzimy na temat oklepany. Pysznisz się swoją wziętością u ludzi. Ale ludzie używają Cię nietylko w dobrych, ale i złych celach. Czarną jest Twoja dusza, a plama jej trwała i niezmazana. Nie wychodź też, braciszku, ze swojej roli. Jesteś na razie tylko kałamarzem szkolnym, cóż więc możesz mówić o wielkich dziełach? Na razie jesteś tylko stworzeniem niechlujnem i na tem koniec. A co do naszej obecnej osobistej wartości i praktyczności, to ja stoję od Ciebie o całą „półkę“ wyżej. Ja, nawet gdy upadnę, nie stracę nic na tem i każdy mnie chętnie podniesie i zachowa. Cóż możesz o tem powiedzieć Ty?

Co do czapki, to Twoje zarzuty nie mają najmniejszej racji. Przecież i Tobie zależy na tem, byś mógł żyć jak najdłużej i nie rozbił się w szkaradne skorupy przez niedbałość Twego właściciela, jak też i mnie zależy, by mnie nie złamał lub nie gryzł, jak to stało się niedawno memu sąsiadowi. A właśnie czapka, ta skromna i małomowna nasza towarzyszka, ma w sobie jakaś siłę, jakimś nimbem otacza sferę życia szkolnego, dziwny wpływ wywiera na właściciela, ale niestety nie na naszego, i dlatego też jest nam źle. Nie są to w każdym razie „mrzonki nieuchwytne“, jak je nazywasz.

Na chwilę zaległa cisza. Tylko na półce w kącie leciuchne dało się słyszeć westchnienie. A było to westchnienie tak ciche, że tylko bardzo a bardzo czułe serce właściciela mogło je usłyszeć, odczuć raczej. Biedna, poniewierana, zmięta, połamana, poplamiona i podarta czapka nie mogła usnąć. Nie bolało ją nic, bo czapkę nic nie boli. Zadumała się biedna nad swoim losem. Za wielkie los włożył na nią zadanie. Ma być symbolem skromności, pilności i szlachetności, a nosi na sobie ślady lekkomyślności, lenistwa, niechlujności i złośliwości. O ironjo! W takich warunkach i żyć się nie chce. Gdyby pozostać tu w tym kącie w zapomnieniu, nie przeżywać codzień tego nieznośnego wstydu. Gdybyż być czapką futrzaną; byłaby drogą, a przez to szanowaną i pożyteczną. Ołówek i kałamarz, jej towarzysze, chociaż kłótliwi, mają się czem poszczycić, obaj są pożyteczni i praktyczni. A ona? ach! ileżby ona mogła, gdyby szanowano ją stosownie do roli, jaką jej wyznaczono! ileżby mogła dobrego zdziałać! Jaśniałaby radością i mówiła wszystkim: „oto jestem czapka studencka, a jaką ja jestem, takiem jest serce studenta“. I towarzyszom jej byłoby dobrze. Nie obawiałby się ołówek zębów swego właściciela, ani kałamarz nie nosiłby przydomka niechlujny.

I znów bolesne westchnienie uleciało z kąta półki, aż ocknął się kałamarz z martwoty, w jaką zapadł po rozmowie z ołówkiem.

— No, cicho już bądź! Nie jestem i ja złym, ale ludzie robią mnie takim. Na to nie widzę rady. Jeśli jednak chcesz, zrobię jeszcze jedną próbę: Porozumiem się z moim przyjacielem piórem i napiszę na ten temat artykuł do „Naszego Życia“. **Kałamarz.**

Nad Gopłem.

(Dokończenie).

Biegiem kierujemy się w stronę wypożyczalni łódek. Co to będzie? — myślę sobie, nie umiem wiosłować. Parbleu! Jak na złość przychodzi do mnie profesor i proponuje mi, żebym z nim wsiadał do łódki. Wsiadam, biorę z fantazją za wiosła i wio! naprzód! Uderzam wiosłami o taflę jeziora. Powstaje fontanna wody, gejzer zda się podniebny. Profesor cały mokry. — Przepraszam, nie mam wprawy, bo od wakacyj wioseł nie miałem w ręce — usprawiedliwiam się pokornie. — Dobrze, tylko miejże trochę energji w rękach. — Odwróciłem głowę, tak mi się śmiać chciało z nieboraka, który wystawia jak może mokre miejsca na działenie promieni słonecznych. Jadę, chlustam jak najęty, jak na złość, a przecież mam, wiecie dobrze o tem, serce jak miód słodziutkie, dobre jak aniołek. Nie myśl jednak, wielce szanowny, dobry Czytelniku, że ze mnie taki nieuk, jak się może wydawać! Po półdniowej jeździe to już coraz mniej chlapałem, a łódka coraz prędzej i śmielej pruła fale jeziora. Profesor poklepał mię dobrotliwie po ramieniu i wlał mi w serce jeszcze przebłysk nadziei, że będą ze mnie ludzie... Tak mię to rozochociło, ż aż mi lepiej szło wiosłowanie. Zacząłem tedy udawać, że to tylko początkowo nie szło mi wiosłowanie dlatego, że zanadto zatopiłem się

w rozmyślaniach nad przeszłością i nad cudami okolic Gopła.

Po południu sam idę do Profesora i proszę go, żeby zeszedł do mojej łódki i przypatrzył się, czego mogą dokazać moje genjalne ręce. Jechałem, jak szalony, na południe w dół jeziora, żeby pokazać, że umiem dobrze wiosłować i żeby móc wynagrodzić profesorowi przedpołudniowy „dyngus". Z powrotem szło gorzej. Na rękach porobiło się coś w rodzaju baniek mydlanych, które coraz bardziej zaczęły ugniatać. Morbleu! Nie dojadę z powrotem! September! October! November! Dezember! Achzig, Neunzig, sechzig, fünfzig!

Zostaniemy jak Amundsen na lodach północnych. Czem damy sygnały? — Odżyła jednak we mnie iskierka ambicji i mimo bólu rąk, mimo żaru w żyłach, prułem fale, aby pokazać, że jestem młodzieńcem polskim, studentem, godnym braci studenckiej.

Po dwu dniach prawdziwie rekreacyjnej wycieczki wróciliśmy do domu. W nocy spało się doskonale. Rano zrywam się z łóżka, jako pilny uczeń, do szkoły — i o zgrozo! — padam jak nieżywy na poduszkę. W rękach czułem ból, jakby mi je kto odciął. Po południu odwiedził mię profesor i powiedział: Nie trzeba nigdy wytężać się ponad siły!

Wbiłem sobie to głęboko w serce.

„Parys".

Aquila alba.

Zakwilił orzeł i rozpostarł loty
I wzbił się w niebo ponad świata szczyty.
Błysnęły w słońcu białych skrzydeł sploty,
Rzucając blaski w skrwawione granity.

Przystanął chwilę, znów kręgi potoczył,
Przeciągnął kracząc zbolałe kościska;
Otrząsnął skrzydła, które w swej krwi moczył
I zakrył ranę, z której krew wciąż tryska.

Z dumą wzniósł w niebo dziób swój zakrzywiony,
Aby zakrakać hymn Polski wieczystej;
Spazmem wygięte wziął przed siebie szpony,
By bronić ziemi swojej macierzystej.

I popłynęły dźwięki Wybickiego
Nad polskie łany i góry i lasy;
Szły razem z dźwiękiem oręża polskiego,
Głusząc po drodze bitewne hałasy.

A on parł naprzód w krainy kochane
I znaczył krwią swą naszych granic szlaki
I budził serca burzą skołatane
I suszył próżne narodu zapłaki.

Stęsknione oczy zdala go dojrzały,
Ludu co wiedział co lemiesz i kolba;
Usta szepnęły to nasz Orzeł biały,
Tłumy wołały to — Aquila alba. —

Kazimierz Schabowski
Tarnów, I gimnazjum.

Wspomnienia z obozu.

Od r. 1922 na całym terenie Rzeczypospolitej rokrocznie w okresie wakacyjnym organizują władze wojskowe i stowarzyszenia P. W. obozy letnie dla młodzieży. Od morza aż po Karpaty, od wschodnich strażnic K. O. P. aż po zachodnie rubieże, w lipcu i sierpniu rozbrzmiewa pieśń obozowa, świadcząc, że młodzież czuwa, że w razie potrzeby gotowa jest

Obrazek z życia dalekiej wsi

(Dokończenie).

— Kajześto naciena tego jałowcu, he?

— A co wom do tego, wase cy co?

— Nie odscekuj sie jucho piekutnico, bo cie wezne, jucho kocmołuchu, za pysk i do sołtysa cie zaprowadze.

Przelekła sie i uciekła, a Frańcysek se ta pośli, ale znowu spotkali cosik, bo zobocyli, ze na ich włosny wirzbie sie coś ruso. Poznali Franka Bartosowego i uzie na niego z góry:

— Ki djabli cie tam wnieśli obziartuchu! Cie go pokrake, kajsie to jucha niemrawiec wyrapolił. Jak do kosy ani do cepów, to cie nima drobie, ale gałezie ludziom kraść toś skory; chodź do sołtysa, jo ci nie daruje.

Ej, było tyz rwetesu i lotanio było, jak pon ometra przyjechoł na wieś. Baby wystawały całemy stodkamy i septały jedna do drugi:

— To tyz jo widziałam, ze dzisioj tak rano jechali. Parada i wasog i siedzenia derkamy wysłali. Myślałam se, ze moze po jakiego żandara cy egzekucnika pojechali, a moze w zoloty — sumitowały się baby jedna do drugi.

— Ej po egzekucnika ta, a po ometre pojechali do Jakubowic. Bedzie un grymasił w jedzeniu, bedzie; bo to takie pany, to grymaśne.

— Nie obowiojta sie, potrafio i jemu na wsi dogodzić — odpowiedzieli Karolowo, mając na uwadze swoją Zośkę.

— Ze potrafio, to potrafio. Patrzta, patrzta, adyć ometra juz jedzie i forogiewki na wozie lezo.

— Posłybyśta lepi baby do roboty, nie wystawać po drogach i baje robić — skarciła ich

pójść w ślady tych „Orląt“, które krwią swoją wytyczyły dzisiejsze granice.

Od jednego obozu na każde D. O. K. w roku 1922, doszliśmy obecnie do dziesięciu, a w niektórych D. O. K. i więcej obozów. Pamiętam, w r. 1923 i 1924 usuwano oficerów ze stanowisk komendantów obozów za to, że ośmielili się zezwolić młodzieży na ćwiczenia w kostjumach sportowych. Jeden z ówczesnych wyższych dowódców (dzisiaj w stanie spoczynku) powiedział: „Przyjechałem zobaczyć obóz, a zastałem bandę dzikich ludzi, Indjan“.

Jakże przedstawiają się obozy dziś, gdy cieszą się opieką?

Młodzież, pełna zapału i ochoty do pracy, swobodnie korzysta z dobrodziejstw, których nie skąpią jej ani góry polskie, ani świerkowe lasy, ani bystre rzeki i ciepłe promienie słoneczne.

Obozy letnie — to idealnie ujęta praca P. W. i W. F. w nadzwyczaj dogodnych i korzystnych warunkach. Żadne ćwiczenia P. W. i W. F. w oddziałach nie dadzą tak wybitnych rezultatów pod względem sprawności fizycznych i wyszkolenia wojskowego, jak 5-cio tygodniowy pobyt w obozie.

Obozy letnie — to szkoła zbiorowego życia w trudnych, zbliżonych do wojny warunkach, obozy — to szkoła hartu ducha, siły woli, karności i dyscypliny, to zaprawa do służby Ojczyźnie.

Kto miał szczęście tak jak ja przez kilka lat obserwować z bliska życie obozowe, ten dopiero może osądzić, jak wielki wpływ mają obozy na odrodzenie fizyczne naszej młodzieży.

Kto widział te blade, anemiczne twarze, te pochylone, ociężałe postacie w pierwszych dniach rozpoczęcia obozów, i miał sposobność widzieć tych pełnych radości życia, wesołych, wyprostowanych, opalonych, czerwonych uczestników, opuszczających obozy, ten dopiero może pojąć ogrom dobrodziejstwa, jakie daje praca P. W. w obozach lenich.

Równie piękne rezultaty osiąga wyszkolenie wojskowe.

Różni dostojnicy wojskowi, inspekcjonujący obozy, nie mieli słów uznania dla wykazanej przez młodzież znajomości wykorzystania terenu, zachowania się w natarciu i t. p.

Bardzo często obozy łączą w sobie młodzież z różnych powiatów, a nawet dzielnic, jak miałem możność obcować w obozie w roku 1927 z kolegami z Pomorza, a w r. 1928 i 1929 z klegami z Górnego Śląska. Organizowania obozów w najpiękniejszych okolicach Rzeczypospolitej, wśród lasów, gór i rzek, lub też w pobliżu naszego morza, dają młodzieży możność poznania piękna kraju rodzinnego. Poznawszy w ten sposób kraj, ukochają go tem goręcej i niewątpliwie w razie potrzeby będą go bronić z tym większym zapałem i gotowością.

Pozatem absolwenci obozów stają się gorącymi propagatorami idei obozowej wśród społeczeństwa. Dzięki temu daje się zauważyć coraz większy, zarówno w szkołach jak w stowarzyszeniach, pęd do tworzenia własnych obozów.

Jednem słowem, akcja obozowa rozrasta się do niebywałych rozmiarów. Po kilkuletnich próbach Państw. Urząd P. W. i W. F. ustalił następujące typy obozów, organizowanych na koszt wojska:

Obozy P. W. dla młodzieży szkolnej;

Obozy W. F. dla młodzieży pozaszkolnej ze stowarzyszeń P. W.;

---

postępująca za furmanką geometry gromada chłopów.

— Robota sie rozpocena i bedzie sła, ale kajtu kolenijo wybrać? Dobre so gronta przy tokach, ale mało my dadzo, dobre na Równinach, ale daleko ode wsi i wody nima. Cóz, wezne przy Zarzniety Babie, cy za tokamy, to bede wyglodoł jak śwircek z zo miedzy: kuń my jesce kiedy spadnie z jaki groby; wezne na Łysy Górze, to my wszyćko słonie wypoli, bo ziemia nijako, sama zozga, ze nawet pyrz nie urośnie.Kajby tu wybrać, zeby mić majotcyne jaki taki?

Tak se ta susył łeb niejeden z gospodorzy i mortwił sie całemy nocamy.

A młodzież sie ta niewiele troscy o przysły los, bo cioro na granicach po całych wiecorach niedzielnych i drze buty. Chłopak pasie krowy i śpiwo w niebogłosy:

Da zachuć ze my słonie dam ci jaje wronie,
Da jak my wrona zniesie w dacharzowskiem lesie.

Casem se ta przygrywo na piscołce nute załosno i znowu zacyno:

E chłopcy Daromiocy, koście sobie zagrać,
Tylko se cuprynki nie dajcie potargać.

Albo:

Ej z tamtej strony Wisły trzy panienki wysły,
Jedna moja, drugo twoja, trzecio organisty.

— O, widzita go, smarkoca, juz bedzie o dzewuchach śpiwoł; a pocirza sie nauc — skarciła go obok przechodząca Kaśka Migdalonka.

A ten jej zaraz zaśpiewał drażniącą wiejskie dziewczyny piosenkę:

Ej Kasieniu nie góruj, wargami nie snuruj,
Nie oździwioj pyska, bo ześ nie sołtyska.

Albo:

Da u Migdała w sieni zakopane kluce,
Da przyjechoł kawalir na kudłaty suce.

W. Krakowiak, II. gimn.

Obozy W. F. dla członków klubów sportowych;

Obozy W. F. żeńskie.

Jak z tego widać, Państwo robi wszystko dla odrodzenia fizycznego młodzieży. Bilans pracy P. W. i W. F., a zwłaszcza bilans dotyczący akcji obozów letnich, przedstawia się imponująco. Po 10 latach pracy, kiedy zdajemy sobie sprawę z dorobku pracy na polu wychowania fizycznego, widzimy, że w tym kierunku uzyskaliśmy przepiękne rezultaty.

Szef misji francuskiej, który dwa lata temu odwiedził nasze obozy, oświadczył, że Polska może być dumna ze swych obozów i osiągniętych wyników, a Francja w tym kierunku winna brać z nas przykład.

Rosną więc szeregi młodych nowoczesnych obywateli, mocnych duchem i siłą mięśni, umysłem, wolą, a Polska wzrasta i staje się mocarstwem.

Niech i młodzież tarnowska nie pozostaje w tyle, lecz niech tłumnie garnie się pod sztandar P. W. **Robak Eug.,** VIIb II gimn.

Skrzypce.

A skrzypce płaczą tak słodko, tak rzewnie,
Mówią do duszy tak miękko, wymownie,
To grają cicho, szaleńczo, to śpiewnie,
Cichną, — znów akord uderza gwałtownie.

Targają duszą i koją ból razem
Budzą wspomnienia niedawnej przeszłości..
Drżę... bo już chyba trza martwym być głazem,
By ich nie odczuć mocy i wielkości. —

A skrzypce płaczą, skarżą się, konają...
Zostaje po nich melodji dźwięk cudny.
Jak ja je kocham! jak wielką moc mają!
Choć zasłaniają tylko czar ułudny.

Mam tego dźwięku czarów pełne uszy,
Czuję ich władzę i siłę ogromną.
Mam miłość w sercu, słońca pełno w duszy...
O! tej godziny czarów nie zapomnę!...

Jadźka Rachlewiczówna
II Sem.

Napisał: IKCILAB.

Z biegiem Wisły.

(Ciąg dalszy).

Rano budzi nas huraganowy wicher. Przez dziury starej szopy świszczy przeciągle suche powietrze, przepojone kurzem z pobliskiej drogi. Nad zaspanemi, rozczochranemi głowami kołacze przeraźliwie jakaś połamana deska. Wyłazimy z pachnącego siana leniwie jak cygańskie niedźwiedzie i ubrawszy się wynosimy nasze manatki nad Wisłę. Po drodze podnosi Franek machinalnie kilkanaście jabłek, — my automatycznie czynimy to samo.

Zmora w szkole

czyli

zastosowanie inkubacji asklepjadejskiej w wychowaniu szkolnem.

Byłem trochę niewyspany... dźwięki muzyki szumiały mi wciąż w głowie... ach ten taniec, to mój żywioł... byczy chłop ten Petruszka... jak ona tańczy cudownie. Oparłem głowę o krawędź ławki. Tymczasem mój sąsiad odpowiadał monotonnie lekcję o szkole średniowiecznej:

„...dzieliły się na trivium i quadrivium, w których uczono siedmiu sztuk wyzwolonych. Dyscyplina scholastycznych szkół... była...

— — — — — — — —

...sala duża, ponura, sklepiona, coś w rodzaju podcieni na rynku tarnowskim. Oglądam się, mój towarzysz z oślej ławki gdzieś znikł, a ławki? niema! Gdzież jestem? Grupki młodych i starych, w cudaczne stroje ubranych siedzą, jedni w kucki, inni na pękach słomy, rózg, chrustu. Gwarno w tej piwnicy, lecz ani słowa nie rozumiem. Czasem jakiś na pół znany temat łaciński obije się mi o uszy: „nescio, quid maius nascitur...“ „odi profanum...“ Tu para trzepie się na wyścigi kijami nawzajem, tam grupka studjuje jakąś starą, przedpotopową księgę, ktoś klęczy na klęczniku i obraca coś w rodzaju telurjum, nad którem widnieje niezgrabny, duży napis: „novus computus astronomiae“. Mój sąsiad trąca mnie w bok tak lekko, że konby od tego uderzenia padł i robiąc minę, jakiej podobną widziałem na portrecie Rogera Bacona, podaje mi deseczkę z napisem „disciplina“.

Zrozumiałem! Jestem w szkole średniowiecznej i odczułem podświadomie, że znak „disciplina“ oznacza bliskie ukazanie się bakałarza.

A więc jak to? Co to ma znaczyć? Czy ja śnię? Niestety, nie! Snem więc był Petruszka, snem miłe danserki, Piaskówka, snem wagary i figle, najmilsze chwile z ławy szkolnej!

W tem nagle zalega piwnicę głucha cisza. Słychać gdzieś słabiuchny szept: „sinus, sinus“ i równocześnie wchodzi do sali bakałarz. Idzie z wielkim pośpiechem, pod pachą trzyma dziennik, siada, wsadza na orli nos monokl, który

Nad brzeg złazi się coraz więcej ludzi. Nieśmiałe wiejskie dzieciaki wyzierają ciekawie z za pobliskich krzaków. W pobliżu nas, na przyniesionym z gór omulonym pniaku, siada sobie dwóch parobczaków. Trącając się dziurawymi łokciami, wpatrują się w nas świdrującemi oczkami — ciekawi, jak my pojedziemy na taką „pohulankę".

Wisła bowiem niezbyt mile się przedstawia. Woda przybrała jakiś dziwnie woskowy kolor. Na całym jej wygiętym pasie gną się z cichą wściekłością ruchome wodne pagórki. Na szczycie każdego błyszczy rozdrobniony grzebień sepleniącej białej piany. O brzeg wali co chwila z głuchym łoskotem rozwścieczona fala. Na jej elastycznem podłożu balansuje niecierpliwie nasze „Coritto", żądne nowych wrażeń i przygód.

Po podziękowaniu gospodarzowi za nocleg, odbijamy od brzegu. W pstrokatej grupie gapiów zapanowało radosne poruszenie. Z za gnących się pod naporem wichru krzaków, wyłażą małe kolorowe postacie dzieci, parobczaki stają na omulonym pniaku, chcąc lepiej zaobserwować spodziewaną katastrofę.

— Niech was pokręci, jak was już połamać nie może! — mruknął po sternicku Franek, manewrując beznadziejnie sterem. Dla większej wzgardy obrócił się do gapiów „nieprzodem" i zaczął usilnie starać się o zaśpiewanie swym bezgranicznie smutnym i również bezgranicznie fałszywym basem uczuciowej piosenki: „Już nigdy..." To mu się już lepiej udało, aniżeli prowadzenie śmiertelnego łoża nierogacizny („Coritta"). Przez rozmarzenie i nieuwagę ustawił łódź prostopadle do kierunku rozbrykanych fal. Rozpoczął się okropny atak... Po każdym szturmie pułku wodnego, biedne „Coritto" stęknie boleśnie, zadrży połatanem blachą ciałem... Po każdem uderzeniu wedrze się rozbita, pienista fala do wnętrza łodzi, mocząc nam rzeczy... Po dnie „Coritta" pływają czarne, okopcone kociołki i menażki... Szalejący wiatr niesie ze sobą rozpylone cząstki wody, dzięki którym jesteśmy już dalej nieprzemakalni!

Porywa nas silniejszy prąd. Franek skończywszy „Już nigdy..." (i oby już nigdy...), zaczął rąbać baranim czy bary-tonem: „Już w gruzach".

Nagle Józek, wpatrzywszy się w szarzejący pas przed nami, ryknął jak raniona koza:

— Uwagaaaa! Tamaaaa!

— Gdzie? Jak?

— Franek! steruj na lewo! Na lewo!

— Nie tak! Nie tak do......

— Oh! Trzymać łódź! Trzymać! Trzymaaaać!

— Oh!

Wtem stała się rzecz dziwna. Sentymentalny Franek wypuścił z rąk ster i zadarłszy do góry głowę, krzyknął z patosem słowa hr. Henryka z „Nieboskiej komedji": „Poezjo, bądź mi pzekletą"!!

W tym momencie „Coritto" kwikło przeraźliwie i przód jego zadarł się gwałtownie do góry. O $^1/_{13}$ część sekundy potem blady jak

---

mu co chwila spada, zakłada nogę na nogę i zaczyna pytać. Cieszę się, że mnie nie wyrwie, bo to przecież nie nasza szkoła, ale średniowieczna, z którą nie mam nic wspólnego. Raz jeden jestem w szkole pewny siebie.

Tymczasem z ust bakałarza pada słowo:

— Bazali! proszę zadanie.

— Ja przecież... to... panie profesorze... tego... panie bakałarzu... panie średniowieczny...

— Dobrze, dobrze, ale co mnie to obchodzi, nie masz zadania, na miejsce, dwója.

Obstupui. Na jakie miejsce? Wszak niema ławek! Co to ma znaczyć? Jaka dwója? Przecież to średniowiecze! Zacząłem wietrzyć jakieś nieszczęście. Bakałarz coś zanadto przypominał mi swoim wyglądem jednego z naszych profesorów. Coś jest w nieporządku.

Lecz cóż to? ach! ach! oooo!

Silne szarpnięcie za kołnierz rzuciło mnie do stóp zakapturzonego kata. Z pod kaptura patrzyły na mnie niby oczy naszego woźnego Adama, ale tak straszne, jak wzrok Ryszarda Lwie serce.

— Czytaj!

Z zamazanej kartki, którą mi podsunął pod nos, zaczęły, jak z ekranu dźwiękowego wyłazić wszystkie moje sprawki szkolne: rozbita i niezapłacona szyba z przeraźliwym dźwiękiem sypała mi się na gołe ręce; szkielet, któremu ongiś przed lekcją przyrody wyjąłem zęba, sięgał po moje zęby, skrzypiąc kikutami, od których wiał przeciąg taki nieznośny, jak na I. piętrze naszego budynku szkolnego; podarta, a nigdy nie czytana książka historji, przeleciała ze świstem koło mnie, jęcząc skargę żałosną; dwóje latały mi przed oczyma, jak wampiry; aż wreszcie coś ciężko, tamując oddech, zległo mi na piersi, — to dnie przewagarowane, jak mgła belgijska, spowiły mnie swą tajemną trucizną — straciłem przytomność.

Przywrócił mi ją ostry ból. Kat zakapturzony wypalał mi rozżarzonem żelazem, na obnażonych plecach, granice pokoju budziszyńskiego, a obok stojąca, wysoka postać, z przeciętem uchem, ponuro liczyła: „...pal go cztery, ...pal go pięć, ...pal go sześć!"

— Litości, panie profesorze!

— Przyrzekasz poprawę?

ścierka Franek, zakreśliwszy nieudałą parabolę w powietrzu, mlasnął w zoraną falami Wisłę.

Tył „Coritta" coraz bardziej ginie pod falami. Musimy się ratować... Drżącemi rękami, dysząc ciężko, wydobywamy z tonącej łodzi nasze najdroższe sercu rzeczy. Jurek ciągnie z czeluści przemoczonego „do suchej nitki" plecaka jakąś amatorską fotografję. Józek nadyma „szlauf" piłki nożnej, — ja raduję się dziurawym butem i szpulką czarnych nici. Złazimy z cennemi zabytkami na czerniejącą pod zadartym przodem „Coritta" tamę.

— Gdzie Franek? — pyta sinemi wargami Józek.

Bohater, parskając, ukazał się z za burty.

— Zabraliście mi co z łodzi?

— Nie, ale weź to pudełko z kotletami, bo całkiem zamoknie.

Zrobił płytkiego nurka i trzymając w kwadratowych, lśniących zębach ociekającą z wody paczkę — przybił „żabim" do tamy.

Stoimy teraz wszyscy bezradnie na zakrytych wodą, oślizgłych wiązaniach tamy. Nogi nasze monotonnie podmywa biało zazębiona fala. Z potężnego szumu rozkołysanych wierzb i topoli, z szelestu zerwanych przez wichurę zielonych liści, dolatuje do naszych uszu szalony śmiech gromady wiejskiej. Niżej tej pstrokatej plamy dostrzegamy wsiadające do łodzi czarne postacie.

Popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy... Nie! Z naszą łodzią nie jest jeszcze tak źle! Sami damy sobie radę! Oglądamy się dokoła. Czarny pas tamy w kilku miejscach przerywa się i biegnie do zielonego półwyspu. Ciągniemy tam na sznurze nasze poczciwe „Coritto". Wystające z tamy kołki ranią nasze gołe stopy, niekiedy zapadamy po pas w wodę, ale wkońcu łódź dobija do zielonej oazy.

Tym — którzy wątpią.

Z uśmiechem trzeba naprzód iść — i szare życie przetkać złotem słońcem — siać trzeba wokół siebie miłość i radość, a smutek odpędzać od siebie het — w dal.

Gdy serce z bolu łkać będzie, to śmiać się śmiać — i zwątpień mary nadzieją przełamać — hart i wolę trzeba wyrobić niezłomną i wichrowym swym lotem wzbijać się na szczyty.

Gdzie stąpisz, to słońcem być — gdzie spojrzysz, niech taje smutku lód — a uśmiech twój niechaj ozłoci to, co szarem jest.

Gdy ci chcą wśród lotu skrzydła złamać, to ze zdwojoną siłą pod niebo się wzbij — a gdy ci spragnionemu czarę goryczy podadzą, to pij i o szczęściu śnij.

I nie myśl ani przez chwilę, że szczęście, to paproci kwiat — o! nigdy, przenigdy. — Od

---

— Przyrzeeeeekam!

I jednym susem znalazłem się na drugim końcu sali, szukając w tłumie scholarów ocalenia. Rozstąpili się i milczą.

— Koledzy, ratujcie!

Milczenie.

O Boże! wszak oni nie znają mego języka, przecież to średniowiecze!

— Żakowie!

Cisza.

— Juvenes, gaudeamus igitur! Nec Hercules contra plures! Orate fratres! Ciconia devorat ranam! — Co to wszystko znaczy? — plotłem i krzyczałem, co zapamiętałem z nauki szkolnej. (Ach! czemuż nie uczyłem się łaciny).

Lecz oni wciąż milczeli obojętnie i dopiero po dłuższej chwili, która zdała mi się wiekiem, ozwał się jeden z nich:

— Dlaczego krzyczysz i pytasz, skoro sam masz być pytany? Oni nie podpowiedzą ci ani słówka.

Zanim zdołałem pojąć znaczenie tych słów, wyrósł przedemną stół, nakryty zielonem suknem, a za stołem na ławach siedzące grono różnych postaci.

W samym środku, na wyższem miejscu, siedział mąż wysoki o krogulczym wzroku, którym świdrował mnie na wylot. Wzrok jego zdawał się mówić:

— A widzisz, że i na ciebie znaleźliśmy sposób!

Nad mężem tym widniał średniowieczny napis: „Baca — laureatus". Obok niego postać oparta łokciami na stole, przykre sprawiała wrażenie: chwiała się lekko na obie strony, a z ust jej, przez dwa pozostałe zęby, wychodził od czasu do czasu krótki, urywany syk, świst i jakby spluwanie „na uroki", przyczem, jakby w groźnem zniecierpliwieniu, nerwowo rzucała głową w bok. Z drugiej strony człek siwawy, blady, szczupły, o jastrzębim, drapieżnym nosie i wzroku, patrzył, do złudzenia, miłosiernie; obok rumiany i młody mefistofeles z kozią bródką, uśmiechał się figlarnie, a strasznie. Dalej, człowiek patrzący smutno, jakby kryjący w duszy jakąś tragedję, strasznym był swoją, tylko co dwa tygodnie goloną, brodą.

myśli takiej uciekaj — niby od dżumy, bo szczęście, to sobie musisz sam wykuć na kowadle życia — i choć perlisty pot ci z czoła spływać będzie, to kuj i kuj, do ostatniego tchu, a gdy szlachetny metal zalśni przed oczyma — i zda się, że praca skończona, to nie spoczywaj na laurach, abyś nie zgnuśniał, — bo gdy spoczniesz bezczynnie raz, stracisz hart na zawsze.

Oglądniesz się za siebie i zobaczysz, że chwila — chwilą nie była — i zawołasz: „o wróć się, wróć — chwilo, gdym przy szczęściu stał".

Lecz próżny żal — gdy młodość poszła w dal. **Kargólówna Helena**, II. semin.

Myśmy przyszłością Narodu!

Słowa te napełniają nas dumą. Upajamy się ich brzmieniem, ale nie zastanawiamy się zazwyczaj, czego one od nas żądają, do czego nas zobowiązują. A jeśli nawet rozumiemy, jak wielka odpowiedzialność ciąży na tych, do których przyszłość narodu należy, czy pamiętamy o tem zawsze, czy staramy się godnie odpowiedzieć naszym zadaniom? A może spełniamy je wtedy, gdy nam z niemi wygodnie, a rzucamy w kąt, gdy się nam podobać przestaną?

W nas drzemie wielka moc, w nas tli się iskra żywotnej siły, ale nie można czekać, aż czas ją rozdmucha. My sami rozdmuchać ją musimy. Ale jak ją rozdmuchać?

Przedewszystkiem trzeba nam poważniejszego na życie poglądu. Musimy inaczej ustosunkować się do pracy, do obowiązku. Musimy zrozumieć, że praca to nie jarzmo nieznośne, narzucone nam przez przełożonych, ale to nasze zadanie życiowe. I póki tego nie zrozumiemy — nie spełnimy dobrze naszych obowiązków.

Życie, to wielka, powszechna praca.

Kto więc nie pracuje, nie jest życia godzien.

Myśmy przyszłością narodu! A na czemże my tę przyszłość budować zamierzamy? Czy może na wzruszających, pełnych zapewnień o miłości ku ojczyźnie mowach? Czy może na groźbach, rzucanych pod adresem jej wrogów? A może na fantastycznych, wspaniałych projektach?

Runąłby wkrótce gmach, na takich fundamentach zbudowany.

My przyszłość narodu budować musimy na pracy.

I to na pracy wytrwałej.

Nie wolno nam ustawać. Nie wolno zadowalać się wynikami już osiągniętemi.

Prawdziwie zdrowy duch nie poprzestaje nigdy na tem, co osiągnął, i pytając samego siebie: „Co już zrobiłem?" — dodaje natych-

---

Obok niego mąż o potężnej głowie, siwej czuprynie lwa i dwóch podgardlach, patrzył na mnie małemi oczkami, ze spokojnem okrucieństwem, za nim widniała postać kobieca, anielska, rumiana, o pięknym profilu twarzy lecz i tej coś źle patrzyło z oczu. Poza nią wiele jeszcze osób tonęło w półmroku.

Nagle w rogu stołu podniósł się człowiek o tak dziwnej postaci, że niewiadomo było, siedział, czy stał. Wyciągnął ku mnie ołówek ostro zacięty, który wydał mi się syczącym wężem, uśmiechnął się szyderczo złotemi zębami zakładu dentyst. Bossowskiego i przemówił do mnie:

— Wybieraj pytania!

Spojrzałem na stół. Leżało tam mnóstwo kartek. Niektóre były otwarte, więc zdołałem je szybko odczytać. Były tam tematy, jak np.: „Pod jakiemi planetami, według Falimirza, rodzą się żaki nieposłuszne, głupie, łakome, swywolne, leniwe, chytre i krnąbrne?" „Lektura świąteczna: „Wierzę w Boga Ojca..." „Oblicz kąt załamania promieni, które puszczałeś lusterkiem w oczy profesorowi" i t. p. Na środku zaś stołu stały przyrządy, niewiadomo czy do nauki fizyki, czy też do nowych, dla mnie wymyślonych tortur.

Nowe tortury! Nie wytrzymałem dłużej. Zapiekł mnie boleśnie pokój budziszyński na plecach, zrobiło mi się zimno i gorąco i w najwyższej rozpaczy krzyknąłem za Winicjuszem: „Chryste, cudu!"

— — — — — — —

Śmiech głośny rozległ się wkoło. Obudziłem się. Jestem w klasie. Koledzy śmieją się serdecznie. Profesor stoi obok i pyta, co robiłem w nocy, że w szkole śpię?

— On chodzi na lekcje tańców, to teraz musi odsypiać — śmieją się koledzy.

Zażenowany, poprosiłem o pozwolenie wyjścia z klasy. Zaraz za drzwiami przysiągłem sobie solennie, że będę się zawsze pilnie uczył i zachowywał wzorowo, choćby tylko dlatego, by nie przeżywać więcej tak przykrego snu. Gdy dorosnę zaś, napiszę dzieło: „Zastosowanie inkubacji asklepiadejskiej w wychowaniu szkolnem". **Bazali.**

miast drugie pytanie: „Co jeszcze mam do zrobienia?“

A więc z zapałem zabierzmy się do pracy!

Ale nie z tym przysłowiowym, słomianym zapałem. Nam trzeba zapału, który nietylko serce rozgrzewa, ale i wolę do czynu pobudza.

Wprowadzajmy w życie idee, zasady i przekonania nasze! Bo tylko wtedy wartość one mieć będą.

Mniej słów, mniej frazesów, — a czynu więcej!

Pamiętajmy, że „myśmy przyszłością narodu“. **H.**, kl. V. gimn. SS. Urszulanek.

KĄCIK FOTOGRAFICZNY.

Zima.

Gdy biała śnieżna szata pokryje naszą ziemię, zmienia się zupełnie pole działania dla fotografa-amatora. Myślący amator rozróżnia kilka rodzajów śniegu, inaczej bowiem wygląda świeżutki puch, inaczej śnieg mokry, a potem zmarznięty, inaczej śnieg nawiany, a jeszcze inaczej śnieg, który przez parę dni prażyło słońce przy mroźnej pogodzie.

Zdjęcia śniegu robione bez słońca nie będą miały żadnej wartości, gdyż dopiero światło słoneczne porusza i ożywia monotonję śniegu i nadaje mu kolory przez grę świateł i cieni. Przy uważnej obserwacji przekonamy się, że śnieg oświetlony słońcem ma kolor żółtawy, natomiast śnieg pozostający w cieniu ma odcień fioletowo-niebieski. Otóż chcąc stworzyć dobry obraz, trzeba zwrócić uwagę na te wszystkie, drobne napozór, ale tak wielką rolę odgrywające cechy śniegu.

Ażeby otrzymać dobre wyniki, należy używać płyt wysoko barwoczułych i doskonale bezodblaskowych (np. „Super-Sensima-Ortho-Antihalo“ Gevaerta), stosowanych z żółtym filtrem.

Jeśli chcemy otrzymać wszystkie szczegóły w cieniach, musimy zdjęcie naświetlać kilkakrotnie dłużej niż normalnie. W ten sposób ratujemy cienie, ale tem samem niszczymy światła przez kilkakrotne prześwietlanie, które w normalnym wywoływaczu musiałyby się całkiem zniszczyć. Dlatego stosujemy wywoływacz tak zwany wyrównawczy, aby ratować zniszczone napozór światła. (Wywoływacz taki dostaniemy w handlu pod nazwą „Carbonal“ lub „Weol“ Hauffa). Tak więc ratujemy światła wywoływaniem, podobnie jak ratowaliśmy cienie naświetleniem. Kopiować należy na miękkich papierach bromosrebrnych. Także odbitki dużo zyskują, jeżeli je zabarwimy na kolor niebieski.

Kapałka Marjan, kl. VIIIb.

Zakładajcie własne pisma!

Organizacja Filij „Naszego Życia“

1. Celem tworzenia filij „Naszego Życia“ jest nietylko propagowanie i rozpowszechnianie idei naszego pisma, ale i dopomaganie tym szkołom, które nie mają warunków stworzenia własnego pisma. Dzieje się to w ten sposób, że szkoły te organizują filję, gdy zaś organizacja ta postąpi o tyle naprzód, że będzie mogła wieść żywot własny samodzielny, wówczas przekształca się na pismo własne miejscowe. Redakcja „Naszego Życia“ śpieszy w tym wypadku nietylko z pomocą w organizacji, lecz i pomocą materjalną wedle następujących warunków:

2. Filja „Naszego Życia“ powstaje przez ukonstytuowanie się redakcji Filji, złożonej przynajmniej z trzech członków.

3. Komitet redakcyjny Filji ma za zadanie zasilanie pisma „Naszego Życia“ w Tarnowie artykułami tak o charakterze lokalnym, jak i ogólnym i rozszerzanie „Naszego Życia“ na terenie objętym przez Filję.

4. Na cele własnej organizacji otrzymują Filje dochód z rozsprzedanych egzeplarzy w wysokości 25% ceny. Jeżli zatem numer pojedynczy kosztuje 35 gr. a Filja rozprzeda 100 egzemplarzy, wówczas Filja płaci Redakcji głównej w Tarnowie tylko trzy czwarte ceny, a jedną czwartą zachowuje dla siebie.

5. Wewnętrzna organizacja Filji jest dowolną, stosownie do warunków lokalnych.

6. Każda szkoła, która chce zorganizować u siebie Filję „Naszego Życia“, winna zgłosić to głównej Redakcji w Tarnowie pisemnie, wymienić skład redakcji Filji i ilość egzemplarzy, na które reflektuje. Egzemplarze wysłane nie mogą być zwracane, to też prosimy o postępowanie ostrożne, chociażby zaczynać od 20-tu egzemplarzy.

I. Wielki Konkurs „Naszego Życia“.

Stosownie do zapowiedzi, umieszczonej w poprzednim numerze, ogłaszamy **KONKURS** na najlepszy artykuł do „Naszego Życia“.

Warunki konkursu:

1) Artykuł nie może przenosić czterech stron druku.

2) Temat i forma dowolne.

3) Wartość: literacka, naukowa, wychowawcza w zakresie szkolnym, czy też obywatelskim — państwowym.

4) Prace humorystyczne będą osobno oceniane i nie mogą konkurować o pierwszą nagrodę.

5) Praca konkursowa ma być samodzielna.

6) Nagród sześć. Pierwsza 30 zł., dwie drugie nagrody po 10 zł. każda, trzy trzecie nagrody po 5 zł. każda: łącznie 65 zł. nagrody.

7) Prace nagrodzone stanowią własność redakcji i będą stopniowo umieszczane w „Naszem Życiu".

8) Prace nie nagrodzone, jeżeli nadadzą się do druku, będą wydrukowane na życzenie autora, jako prace konkursowe.

9) Do konkursu stawać mogą tylko koleżanki i koledzy szkół średnich małopolskich.

10) Termin nadsyłania prac do 14 marca br.

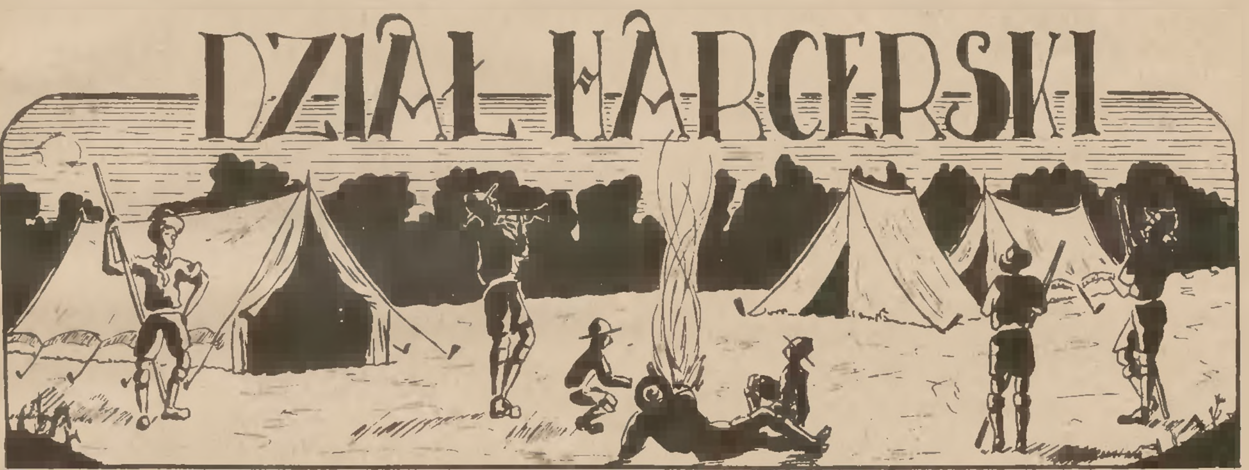
11) Każda praca ma być zaopatrzona w nagłówku „Praca Konkursowa" „Naszego Życia" do konkursu na dzień 14 marca b. r., oraz ma nosić swoje **godło.** Do pracy należy dołączyć kopertę dobrze zapieczętowaną, zawierającą to samo godło, a wewnątrz ma być imię i nazwisko, oraz dokładny adres autora.

12) Pierwsze posiedzenie sądu konkursowego odbędzie się dnia 14 marca b. r. o godzinie 16 w lokalu czytelni II gimn. w Tarnowie.

13) Do sądu konkursowego wejdą: 10 koleżanek i kolegów wylosowanych z pośród członków redakcji i po 2 uproszonych ze szkół średnich tarnowskich.

14) Wynik konkursu i pracę nagrodzoną I-szą nagrodą ogłosimy w numerze z dnia 1 kwietnia b. r.

15) Nagrody roześle redakcja **bezzwłocznie** po ukończeniu sądu konkursowego.



Organizacja to potęga!

Gdy już „nasza" Polska żyje, kto dobry jej syn,
Niech wytrwale naprzód dąży do czynu przez czyn,
Ze słabością niech się łamie i zwyciężyć nie da,
Bo Ojczyźnie tylko takiej młodzieży potrzeba.

Zagadnienie wychowania narodowego młodzieży wtedy dopiero znajdzie rozwiązanie, jeżeli pracę wychowawczą rozdzieli się między trzy czynniki: rodzinę, szkołę i organizacje młodzieży.

Ostatni czynnik lekceważyły i niedoceniały niesłusznie różne sfery, co jest jeszcze pozostałością zaborczych systemów szkolnych. W wolnej Polsce zda sobie społeczeństwo z pewnością sprawę ze znaczenia i pożytków organizacji młodzieży.

Zadaniem związków i organizacyj jest wszczepiać głęboko w serca młodzieży miłość ojczyzny. Organizacje uczą młodzież tej pracy: tutaj każdy ma sposobność zaznajomienia się, czy to z prowadzeniem kasy, sekretarjatu, z organizowaniem prac rozmaitych, czy to wewnętrznych czy zewnętrznych, tutaj się uczy przewodniczenia zebraniom, rozkazywania podwładnym, a co najważniejsze, podporządkowania swoich ambicyj dobrowolnie przez siebie wybranym przełożonym. O ileż większym zaufaniem darzyć będzie społeczeństwo tego, który już od młodości pracować społecznie umie, niż takiego, który dopiero w późniejszym wieku uczyć się tego musi. Zdajemy sobie chyba srpawę, jak złym jest na naszą młodzież wpływ obcych, napływowych żywiołów w szkole. Reakcją przeciw temu i skuteczną tamą są tu organizacje: one zrzeszają młodzież pod narodowym, szlachetnym sztandarem, odwodzą ją od sideł zepsucia i upadku, które jej wrogowie nieraz zastawiają pod pokrywką pięknych haseł.

Związki zrzeszają w sobie członków różnego pochodzenia i różnych „stanów", każą im

wspólnie pracować, przez co zaciera się stanowa nierówność, która tak nieraz dotkliwie daje się odczuć na ławie szkolnej.

Wiele, może nawet za wiele walk i zawiści partyjnych dostrzegamy w naszem społeczeństwie. Związki młodzieży, stojąc na apolitycznem i bezpartyjnem stanowisku, skupiają w sobie takich, którzy kiedyś w różnych stronnictwach będą pracować; oduczają ich przez to stronniczych zawiści, często osobisty podkład mających, a uczą poszanowania cudzego zdania i cudzej indywidualności, wszczepiają miłość wzajemną i koleżeństwa, nawet wobec przeciwników.

Czyż mamy wreszcie mówić o tem, że związki młodzieży, to teren, gdzie się ścisła, nieraz na całe życie przyjaźń zawiera?

Genjalni przywódcy nasi filomaccy wskazali nam prawdę hasła: **organizacja, to potęga.** Rozumieli je oni. Ono rozszerzało piersi wielkich filaretów: Zana i Mickiewicza, najgłębiej się wczuwających w potrzeby duszy polskiej. Wielkim był ten, co stworzył i był duszą organizacji Filomatów, Filaretów, Szubrawców, Związku Przyjaciół, Filadelfistów i Promienistych.

I my chcemy iść ich śladem. Tylko w licznych organizacjach wykształcić się może nowa, wielka, potężna atmosfera naszej młodzieży, z której wyniosą kiedyś wielkie charaktery. Życie nas uczy, że często mało zapowiadający młodzieniec staje się filarem narodowego życia, a pozornie błyskotliwi migają, jak iskry i gasną jak one.

Im więcej będzie organizacyj wśród młodzieży, tem zwartsze i silniejsze będzie nasze społeczeństwo. Tam się bowiem wyrabiają jednostki twórcze, obdarzone siłą, zmuszone do propagandy swych przekonań i wcielania ich w czyn.

Czynów głosicielami być chcemy, a nie pustych frazesów, choćby w artystyczno-literackiej szacie. Wspierać będziemy wśród nas gorliwość organizacyjną, nie widzimy żadnej „zaciekłości", ani „ekskluzywności", przynajmniej wśród zorganizowanej młodzieży. Współdziałanie zaś i rywalizacja w szlachetnej formie są zawsze pożądane.

Harcerstwo chce być wyrazem zorganizowanej młodzieży polskiej, pragnie zachęcić i pobudzić ją do pracy, a tej, która stoi zdala od organizacji, wskazać drogi i sposoby zrzeszania się i łączenia. Całokształt życia młodzieży odtworzyć tutaj w tej gazetce pragniemy, oraz wszyskie jego szczegóły i przejawy. Czuwaj!

Emiljan Tańcula.

Bądź dzielnym skaucie!

Bądź dzielnym skaucie! Krusz i łam trudności
Jak orzeł w chmury uderzaj zuchwale,
Wyzbądź się swoich skaz i ułomności,
Chciej szczęście swoje znaleść w ideale.

Tobie potrzeba wielkiej ducha siły,
By nie zagasnąć krwawą błyskawicą,
By nie lec próżno śród zimnej mogiły,
Lecz się uporać ze złą nawałnicą.

Podaj dłoń bratnią za prawdą goniącym
Niechaj nie giną pośród ludzkiej zgraji;
Wskaż świat idei za prawdą tęskniącym,
Wykaż złą żądzę, którą świat ten tai.

Zakuj swą wolę w djamentów zbroję
Przed złem świata co czycha na ciebie
Nie bój się trudów ni zważaj na znoje,
Bo Bóg twój czuwa na szerokim niebie.

Nie daj się przygnieść srogą życia wagą
Walcz zawsze dzielnie śród ciemności świata
Wykaż się wielką swych czynów powagą
Bądź zawsze dzielnym — choć czas cię przygniata.

Kazimierz Schabowski
przyb. V. TW.

Czarny Orzeł.

Gdyby tak było!

(Z cyklu: Szkice).

Śnieg... zima... szron...
— Dziwny świat —
— Kraina baśni — legend —
— Kraina czarów — piękna —
— A jaka czysta, choć zaklęta...

Takie to pytania i wyrazy krzyżowały się nad stołem, za którym siedziała grupka chłopców o poważnych, myślących oczach zapatrzonych w czar zimy, zaglądający do środka izby i nęcący ich swą białością, swą nieskazitelnością i czarem, i urokiem nieprzepartym i... siłą!

Marzyli!

O dalekich podbiegunowych lodach, o górach otulonych puchem, o zamarzniętych potokach, o lasach przywalonych rozpylonym śniegiem, o morzach dalekich, o wszystkiem, co cudowne.., co piękne... Świat wołał ich, wzywał ich, rozkazywał!

A oni — jego dzieci — oni wychowani wśród pól i lasów, wśród barwnych tasiemek strumieni i wstęg rzek szemrzących legendę... o Polsce! — mieliby nie posłuchać tego głosu? Oni zbratani z tą naturą, zespoleni z nią jednem silnem ogniwem... Mieliby zakopać się w domach, bo tam wicher gra... bo tam zimno i mróz szczerzy zęby?...

— Złamalibyśmy przysięgę!
— Zerwalibyśmy węzeł!

I znowu skrzyżowały się pytania, znowu oczy spoważniały patrząc w głąb swych istot, w głąb serca... Zastanawiali się, ważyli...

— Dziwni ludzie. —

— Dziwny świat. —

— Ino wyjrzyjcie za próg, a pójdziecie... choć mróz... choć zimno — znam was zuchy — szeptał czar.

— Znamy was! — śpiewały gwiazdki śnieżne, opadając lekko na oświetloną taflę szyby.

— Wyjrzyjcie ino. —

— U nas dobro.

— W nas pieśń nieśmiertelności — w nas wieki. —

Ruszyli się! Oczy rozgorzały dziwnym blaskiem, ręce zacisnęły się dziarsko, twarze zdradzały upór... zuchwałość nawet. Oni wierni tej, co ich wzywała tylu głosami, postanowili iść, postanowili wypełnić ślub... dotrzymać słowa.

Poszli!...

— — — — — — — —

— — — — — — — —

— Kraj czarów. —

— Kraj święty — niezbadany — niepojęty. —

— Nieodgadniony i tajemniczy.

Szli! Szli do tego zaczarowanego świata, radując się słońcem, które świeciło dzisiaj szczególnie pięknie, rozpryskując swe promienie na tafelkach śniegu w bajecznie kolorowe tęcze, w festony i girlandy barw i odcieni, łączących się w jeden kobierzec drogocenny, w jedno zbiorowisko piękna, przez które zastęp ten sunął bez słowa — oczarowany — olśniony tym przepychem, bogactwem — onieśmielony dobrocią tej, co tak ich witała.

Natura ich witała! Natura ich znała, kochała — nic też dziwnego, iż dała im wszystko, co miała — dała im to, co najdroższego ma — piękno i dobro...

Świat leżał uśpiony, ukołysany. Świat odpoczywał, by zbudzić się i chwycić za codzienną pracę, by dognać czas pędzący w dal, w nieskończoność! — w bezkres wszechświata... we wszechbyt...

— Zjeżdżamy! — rozległ się głos zastępowego.

Postacie pochyliły się, noga wysunięta do przodu zadrgała nerwowo, ręce krzepciej objęły kijki i — ruszyli! Wiatr grał w uszach i świergotał, oczy patrzące przed siebie nie widziały nic, tylko białą, drgającą płaszczyznę i ciemną linię boru w dole, a nerwy naprężone czuwały nad każdym ruchem, odgadując niebezpieczeństwa i usuwały je... Śliczna chwila upojenia i naprężenia zarazem...

— Oporem! — rozległa się znowu komenda.

Nogi rozszerzyły się, a zakręcone dzioby nart zwarły się razem. Pęd malał prawie błyskawicznie, a szum nikł... roztapiał się... ucichał...

Wjechali do lasu! Przygniecione ciężarem dęby i buki stały nieruchomo — zaklęte — poważne z siwizną na skroniach. Obok jodełki, ustrojone w białe płaszczyki, utkane teraz z tęcz, wyciągały śnieżne ramiona do świerków, patrząc na zalotników — poważnie, ale z kokieterją...

— Święty spokój. —

— Błogosławiona cisza.

— Powaga wieków, bijąca z tych starców siwowłosych i zgarbionych miesza się tu z młodością strojną i zalotną.

— Legenda i rzeczywistość stoją obok siebie.

Tak rozmyślając harcerze-narciarze, pięli się w górę stromą ścieżyną, zarosłą gęsto jodłami, narażeni na zaczepki tych piękności boru, bo jodełki obsypywały ich śniegiem, uderzając po piersiach i głowach. Nie zwracali na te zaczepki uwagi, przejęci powagą miejsca i świętą ciszą, spokojem, wszechwiecznością krajobrazu i jego siłą, jego uczuciowością, jego posłannictwem. I rzeczywiście, krajobraz miał siłę posłannictwa — siłę daną mu przez Mądrość Boga i jego lud. Ktoby tu — tak jak ci — przybył i umiał odczuć naturę, byłby kryształem bez skazy, jak ta biel rozesłana wszędzie ręką Wiekuistego!

— Dziwny świat. —

— Onieśmiela i ośmiela zarazem. —

— Każe modlić się i gra na zmysłach. —

— Harcerze zdobyli szczyt. Udeptano mały kawałek śniegu, rozpalono ognisko i grzano skostniałe ręce. Nogi uderzały o siebie miarowo, by zastygłą krew ruszyć i rozpalić.

Ściemniało się, gdy pierwsza gwiazdka zamigotała filuternie na ciemnem tle nieba, gdy bór i okolica przywdziewały czarne szaty, by zacząć modlitwę, — na górze płonęło ognisko, a wokół niego kręciło się kilka postaci: roześmianych, wesołych, swawolnych...

Zagrała trąbka — z początku bojaźliwie, a później silnie — hardo — rozkazująco! Postacie skupiły się zapatrzone w ogień, będący symbolem ich siły, bezinteresowności, będący symbolem ich uczuć i marzeń o ideale, o sile, którą trza wykrzesać ze społeczeństwa, z kolegów i tchnąć — w Polskę!!! Marzyli o wielkiej Polsce; takiej, od morza do morza. Chcieliby całą ludzkość wziąść w ramiona, objąć ją i — dać to — co piękne... Polskę!...

...O Panie Boże Ojcze nasz...

Modlili się. A potem:

...Bóg się rodzi, moc truchleje...

Śpiewali całą piersią, łamiąc się opłatkiem, który w świetle ogniska bielił się — jak ho-

stja — i drgał i płonął. Bóg się rodził!... W tej chwili byliby nawet zbrodniarzowi przebaczyli, w tej chwili byliby wszystko zrozumieli, tak byli teraz inni — tacy inni niż dawniej... zupełnie nowi... przeistoczeni... niby święci...

— To była ich wilja.

O ileż piękniejsza od tej domowej, nawet w otoczeniu rodziny i znajomych. Tu rozmawiali z Bogiem twarzą w twarz... i — czuli Go, jak nigdy dotąd: szczęśliwi!

— — — — — — — —
— — — — — — — —

Wesoło wracali do miasta, migocącego w dali tysiącami świateł.

— Skończył się czar. —

— Skończyła się bajka. —

Przed sobą mieli rzeczywistość, uśpioną na chwilę siłą narodzenia Pana, ale zawsze tą samą: twardą, okrutną i bolesną.

— Ha! Trudno...

— — — — — — — —
— — — — — — — —

Staszek S. odłożył trzymany przed chwilą tygodnik.

Miał łzy w oczach.

— Gdyby tak było... u nas.. w drużynie — pomyślał i zwiesił głowę. Gdyby tak było?!

Drużyna VI. żeglarska

im. hetm. Stef. Czarnieckiego.

Mimo różnych kolei losu trzymamy się jednak, dążąc stale do wyznaczonego sobie celu. Oto nasza historja w zarysie:

Dnia 20 maja powstaliśmy, by zwrócić społeczeństwu uwagę na doniosłość życia na wodzie. Już w obozach hufców mieliśmy swoich członków: 2 na Kresach (Duka Mała), 1 w Karpatach (Klimkówka), a po wakacjach tegoż roku wzięliśmy udział w zawodach korespondencyjnych Kom. Chor. i hufca zdobywając IV-te miejsce.

Następny rok 1929 był ciężkim dla nas, ale nie ugięliśmy się, wysłaliśmy tym razem 4 harcerzy na obóz III. Tw. na Kresy (Skała), bo na własny zdobyć się było trudno. W jesieni ub. roku wzięliśmy znowu udział w zawodach lekkoatletycznych hufca, zdobywając czołowe miejsce.

Rok 1930 nie przyniósł nam upragnionego celu: obozu nie mieliśmy, ale za to 2 czerwca poświęciliśmy proporzec, będący symbolem naszych dążeń i naszą najdroższą relikwią. Na wakacjach nawiązaliśmy kontakt z kierownikiem drużyn żeglarskich Cz. K. M. i z jego pomocą dopięliśmy celu: mamy cztery śliczniutkie kajaczki (4 à 5) łącz. dł. 20 m. do 3 m². Żagl. (łącz. pow. 12 m²). Za kilka miesięcy zaczniemy ćwiczenia.

Praca w drużynie rozwija się ciągle. W ostatnim roku kilku członków zdobyło sprawności, kilku złożyło próby III. i II. stopnia, nic też dziwnego, że Kom. Hufca, a szczególnie dh. przyboczny I. L. opiekuje się nami specjalnie.

Stan drużyny 21, zast. 3 (Albatrosy, Mewy, Rybitwy).

Dochód według sprawozdania rocznego 1193.50 zł., rozchód 1078.21 zł.

Stan inwentarza (w/g. Rozp. Rzpltej) 1466.26 zł.

Opiekunem drużyny jest dh. prof. Walerjan Wróblewski, zarazem sekretarz K. P. H., — drużynowym jest Czarny Orzeł.

KRONIKA SZKOLNA.

W II. gimnazjum. Zawiązało się w ostatnich czasach „Koło Sportowe“. Kuratorem Koła jest prof. Jakóbiec a do zarządu wchodzą: kol. Robak Eug. jako prezes i sekretarz Mącznik W. Koło Sportowe zajęło się urządzeniem ślizgawki, która wkrótce oddana będzie do użytku młodzieży wszystkich szkół tarnowskich.

Komitet rodzicielski urządził dnia 17 I. b. r. dla uczniów II. gimnazjum „Opłatek“ w sali Strzeleckiej. Kilka godzin spędzili uczniowie w nastroju miłym i serdecznym, do czego przyczyniły się wielce przemówienia ks. prof. Dr Młodochowskiego, JWP. Czaplińskiego i kol. Kabata.

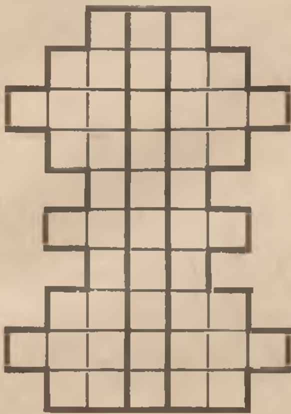
„Opłatek“ w III gimnazjum odbył się staraniem zarządu Czytelni uczniów dnia 12 stycznia br. w sali „Gwiazdy“. Całość pozostawiła na uczestnikach tradycyjnego „Opłatka“ niczem niezatarte wrażenie. Do zebranych rodziców, Grona profesorów oraz uczniów przemówił kolejno prezes Czytelni kol. Eug. Kiszczuk oraz ks. prof. Chrobak W. Następnie uczniowie kl. VII dali na scenie wesoły obrazek z kolędnikami.

Po herbatce, śpiewano długo nasze piękne kolędy, poczem przemówił jeszcze krótko Kurator Czytelni prof. Wł. Marzec. Ze smutkiem opuszczali uczniowie salę, gdzie tak miło spędzili czas.

Oprócz tego w klasie I zawiązało się „Kółko Historyczne“, które okazuje ożywioną działalność, dzięki energicznemu kierownictwu p. prof. Heilmanowej. Do Zarządu Kółka należą: prezes Biedroń, sekretarz Niedojadło i skarbnik Mistor. Kółko założyło sobie album historyczny a członkowie opracowali już szereg referatów z dziedziny historji.

Rozrywki umysłowe.

W podaną figurę należy wpisać wyrazy, o podanem niżej znaczeniu w ten sposób, aby litery w rzędzie środkowym dały rozwiązanie.



Znaczenie wyrazów:

1. Pierwiastek chemiczny
2. Roślina z rodziny amarylkowatych
3. Zwierzę z gryzoniów
4. Ptak drapieżny
5. Zwierzę owadożerne
6. Gatunek psa
7. Zwierzę z rodziny kotów
8. Inaczej nietoperz
9. Roślina wiosenna
10. Zwierzę mięsożerne

A	A	A	A
A	A	O	O
T	T	T	T
R	M	K	Z

Tak ułożyć litery aby dały słowa czytane poziomo i pionowo.

Kwadrat magiczny.

	1	2	3	4
1				
2				
3				
4				

Przeszkoda
Bóg egipski
Zabójstwo
Góry w ameryce.

Losowanie nagród odbędzie się 28 lutego br. o godzinie 6-tej w redakcji „Naszego Życia". Rozwiązania można nadsyłać najpóźniej do 25-lutego br. REDAKCJA

Odpowiedzi Redakcji.

H. Chrapusta, sem. m. — nieaktualne.

St. Buwaj, II. gimn. — nie umieszczamy.

Ed. Sak, I. gimn. — unikać rymów czasownikowych.

S. Wachtel, I. gimn. — Nie drukujemy z powodu braku miejsca.

J. Kwoczyński. — Rzecz dobrze znana. Może skorzystamy w przyszłości.

J. Janik, I. gimn. — Artykuł bardzo dobry, umieścimy w następnym numerze.

A. Olszyński. — „Pastuch" pójdzie na wiosnę.

J. Śmietana, II. gmin. — Dobre, ale niestety zapóźno.

„Pencok" — Jak kol. Janik.

Humor.

Na grece.

Uczeń Emilewski tłumacząc tekst grecki, nagle przestaje.

Profesor: Tłumacz dalej.

Uczeń: U mnie dalej niema, panie profesorze!

Profesor: No to siadaj — dalej Lamberski.

— Emilewski, dlaczego nie tłumaczyłeś? — pyta kolega.

— Bo mi się „bryk" skończył.

W Dyrekcji.

Dyrektor (do ucznia): Jest tu na ciebie doniesienie, że należysz do stowarzyszenia, mającego przewrotne cele.

Uczeń: Tak jest, panie dyrektorze, należę do stowarzyszenia przyjaciół gry w kręgle!

Zdolny pisarz.

— Wiesz, za moją ostatnią nowelkę dostałem 50 zł.

— Tak? W którym numerze jest umieszczona?

— W żadnym! Wysłałem rękopis jako list polecony i tak się szczęśliwie złożyło, że zaginął na poczcie.

Na zadaniu.

— Janek! nie odpisuj, albo przynajmniej zmieniaj.

— Od samego początku zmieniam.

— W jaki sposób?

— No tam gdzie ty piszesz „der", ja piszę „die".

Dobrze wykombinował.

Zadzwoniono. Uczeń M. zamyka książkę. Rozgniewany tem profesor S. krzyczy:

— Kto ci pozwolił zamykać książkę?

Uczeń M.: Już był dzwonek!...

Profesor S.: Dzwonek jest dla mnie, a nie dla ciebie — rozumiesz?

Na drugi dzień uczeń M. wchodzi 10 minut po dzwonku.

Profesor S.: Gdzie ty byłeś? Czy nie słyszałeś dzwonka?

Uczeń M.: Przecież pan profesor powiedział, że dzwonek mnie nic nie obchodzi, bo jest dla pana profesora, a nie dla mnie.

Kółko sportow. II. gimnazjum
urządza
ŚLIZGAWKĘ
na boisku szkoły.
Wstęp tylko 15 gr.
Szatnia dobrze ogrzana. — Tani bufet.

Kurator: Prof. Stanisław Zając — Naczelny redaktor: J. Rachlewiczówna.

Z drukarni J. Pisza w Tarnowie — pod zarządem St. Starostki.